№ 23. 8. Czerwca. 1850

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdej Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłaja się bezpłatnie pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »Przedpłata na Tygodnik lwowski.«

Św. Kolumban.

Obrazek z dziejów apostolstwa w zachodniej Słowiańszczyznie.

Dzieje rozszerzania chrześcijaństwa w zachodniej słowiańszczyznie przez narody zachodnie stanowią, jeden z najokazalszych ustępów całej historji nowożytnej. Można w nich dostrzedz dwa wydatnie odcechowane okresy — okres apostołowania słowem i apostołowania orężem, missionarstwa ewangelicznego i r ligijno politycznego podboju. Ostatnią obudwóch wynikłością było wytępienie opornej chrześcijaństwu połowy zachodnich ludów słowiańskich a zniewolenie reszty do przyjęcia wiary rzymskiej. Ta ostateczna wynikłość, jak całe dzisiejsze położenie zachodniej słowiańszczyzny ukształtowała, tak też żywo podzisdzień tkwi w jej duszy. Mni jwyraziście przechowała się pamięć niezmiernej długoletności, dawności usiłowań, które tę wynikłość sprowadziły, mianowicie usiłowań apostolskich, rozpoczynających się prawie z początkiem nowożytnej historyi. Ciekawą przeto rzeczą, obaczyć, jak wcześnie te tak późnych następstw zarody działać poczęły, jak skromnie te tak olbrzymich skutków wypadki w początkach swych wyglądały. Możemy to ujrzeć w historji św. Kolumbana, jednego z najpierwszych apostołów zachodnich w słowiańszczyznie.

Byłoto u schyłku 6go wieku — niedawno po pierwszem głośniejszem zasłynieniu plemienia słowiańskiego na widowni dziejów. Wiedziano już powszechnie iż wzdłuż wybrzeży Dunaju, jako też innych doń wpadających rzek, mianowicie zachodniopołudniowej Sawy i nieco wyższej, karynckiej Drawy i styrskiej Raby tudzież górnej północnej Morawy, mieszkali szeroko w rozrzuconych osadach bałwochwalczy Słowianie. Jako ludzie pogańscy byli oni w wielkim wstręcie u wszystkich chrześcijańskich narodów zachodniéj Europy. Ten wstręt powiększył się tem bardziéj, gdy dzicy Azyjscy Awarowie w te naddunajskie kraje wtargnęli i główne tu siedliska rozłożywszy, całą prawie zachodnią Europę z uległymi sobie słowianami łupić zaczęli. Wtychto czasach niewoli i osławy plemienia słowiańskiego pojawił się na jego granicy w przelocie św. Kolumban, przez współczesnego opata Jonasza, według opowiadań własnych uczniów św. Kolumbana w następnym życiorysie, charakterystycznym zabytku owczesnego legendowego stylu, za swieżej odmalowany pamięci.

»Urodził się Kolumban w Hybernii (Irlandyi), wyspie dalekiego oceanu, pięknej, jak powiadają, i cichej i żadnej wojennej obcych narodów napaści nie doznającej....

»Wyszedłszy z lat dziecinnych zaczął pochopnym duchem oddawać się naukom, które przez całą młodość, aż do męzkiego wieku, z rzadką wytrwałością uprawiał.

»Ale jako był pięknej urody, a wszyscy go lubili, owoż stary nieprzyjaciel rodu ludzkiego, jął go wikłać w swe sidła, chcąc tak wspaniałego ducha zatracić. I pobudził więc miłość swawolnych dziewic ku niemu, zwłaszcza takich, których nadobność cielesna rozpustnemi zachętki i zgubną pożądliwością nieszczęśliwych umysły zapalać zwykła. Lecz gdy dzielny młodzieniec tak niebezpiecznemi pociski zagrożonym się ujrzał, ewangeliczną osłoniwszy się tarczą, walczył śmiało przeciw wszelkim nieprzyjacielskim złudom, aby nieposzły w niwec jego nauki w gramatyce retoryce, geometryi i pisma świętego księgach.

Aż jednego razu zaszedł do pustelni pewnej świętobliwej i Bogu poświęconej niewiasty, którą pokornie wprzód pozdrowiwszy, młodzieńczą potem, jak umiał, jął napominać mową. Ta widząc siłę w młodzieńcu — »Jam-ci« odrzekła» dawno już do boju z sobą wyszła; oto dwanaście pór już mija, jak domową zagrodę opuściłam, i w tej osiadłam odludni; i nigdy odtąd, za łaską zbawiciela, lemiesza ręką nie tknąwszy, do dawnego nie zatęskniłam życia. I gdyby nie płeć słaba, dawnobym już była za może poszła i dalszej szukała sobie pustyni. Lecz ty, młodzieńczym wrzący ogniem, w domowym siedzisz zakącie, i chcąc niechcąc ku pieszczotliwych niewiast mowom ucha nakłaniasz, i bezkarnie ich towarzystwa nawiedzać mniemasz. Nie dośćże ci przykładów Adama i Ewy, Samsona i Dalili, Dawida i Bersaby, Salomona i żon jego? Opamiętaj się więc i powstań, i porzuć drogę, która do zguby wiedzie!» — Wzruszony temi słowy, uczynił młodzieniec jak mu kazała pustelnica, i pożegnał towarzyszów i wybrał się na wędrówkę.

»A tu matka bolejąca błaga go i zaklina, aby jej nie porzucał. Lecz on: — Czyż nie słyszałaś matko słów tych: kto matkę lub ojca nademnie kocha, ten nie jest godnym mnie. — Naprózno więc opiera się stara matka i przyklęka

na progu i w głos szlochając, woła, że go nie puści. On przekracza i próg i matkę i mówi, Bądź zdrowa moja rodzona! Już mnie nigdy w życiu nie ujrzysz; gdzie droga zbawienia wiedzie, tam idę.

„Tak opuściwszy rodzinną ziemię, udał się do pewnego czcigodnego męża, Senila, który w owych czasach z nadzwyczajnej bogobojności i wielkiej w piśmie świętem nauki u swoich słynął....

„Potem powziął zamiar wejść w towarzystwo z mnichami i udał się do klasztoru Benchor, gdzie w samych modłach i postach życie trawił i jarzmo Chrystusa pana dźwigać się uczył!.... Po wielu zaś latach, które w tymże klasztorze spędził, zaczął pragnąć wędrówki, pamiętny owych słów Boga do Abrahama: Wyjdź z ziemi swojej, i od rodziny swojej, i z domu ojca twego i pójdź do ziemi którą okażę tobie.... Zwoławszy tedy braci klasztornych na zgromadzenie, prosi ich o wstawienie się za nim w modłach do nieba, aby dawca przyszłej pociechy pobłogosławił wędrówce. Zaczem wyszedł w 20 roku życia z 12stą towarzyszami pod przewodnictwem Chrystusa pana w drogę, a przyszedłszy do morza, wsiedli wszyscy na okręt i z lekkim płynąc wiatrem przewieźli się morzem do Brytańskich wybrzeży.

„Krótko tam pobawiwszy, pokrzepili omdlałe siły i radę względem dalszej drogi złożyli. Stanęło na tem, aby krainę Gallów wędrowną powitać stopą, i ludzkie zwiedzić tam obyczaje, a jeżli nasienie zbawienia przyjaźną znajdzie tam rolę, przez jakiś czas tam zabawić, jeżli zaś zaślepione spotka umysły, do sąsiednich udać się krain.

„Gdy więc błogosławiony Kolumban do Galji przybył, doszła jego sława aż na dwór króla Sigberta który wówczas dwojemu królestwu Austrazyjskich i Burgundzkich Franków panował. A ujrzawszy go król Sigbert, jął prosić świętego męża, aby w granicach jego państwa pozostał, ślubując dać mu wszystko, czego zażąda. Lecz święty wędrownik odpowiedział królowi: Nie innych pragnę ja skarbów jak tylko spełnienia zapowiedzi ewangelijnej: „Kto chce pójść za mną, niech się wyrzecze sam siebie, i weźmie krzyż swój na plecy i wstąpi w ślady moje". Na co król rzecze: „Jeżli Chrystusa krzyż chcesz dźwigać, i w jego ślady wstępować, obierz sobie pustelnię w moich państwach, byleś tylko granic naszych nie przekroczywszy, do innych nie ustępował narodów." Skłoniony tą namową królewską, przyrzekł błogosławiony Kolumban pozostać w kraju, i poszedł szukać pustyni. A była tam pewna zdawiendawna opuszczona odludna, nazywająca się *Vosagus*, w pobliżu starego zburzonego grodziska, które dawne podania *Anagrates* mieniły. Tamto acz dla rozległości pustyni i sterczących powszędy skalisk, straszne było to miejsce, osiadł mąż boży ze swoimi towarzyszami, zadawalniając się szczupłą strawą, pamiętny słów ewangelji: Nie samym tylko chlebem człek żyje...

„A gdy mąż święty ciemnymi lasy, po bezdrożach tam się przechadzał, i niosąc księgę pod pachą, nad pismem świętem rozmyślał — wnet stada wilków drogę mu zachodziły, wnet zgraje łotrujących włóczęgów go spotykały, lecz łaska boża zawsze go od drapieżnych zwierząt i ludzi ocalała, i nazad bezpiecznie do pustelniczej celi go wiodła.

„A jednego razu, wyszedłszy z swojej pustelni, i w dłuższej wędrówce głąb puszczy przenikając, przyszedł do ogromnej skały, mającej głębokiemi kotliny rozdarte boki, a barki ostremi najeżone głazami; u stóp zaś, znajdowała się wydrążona w skale pieczara. Owoż gdy św. wędrowca jej skryte wnętrza jął badać, znalazł tam norę niedźwiedzią i samegoż zwierza spoczywającego w głębi pieczary. Natenczas łagodny i potulny każe ustąpić potworowi, i — „Nigdy już" — rzecze — „nie wracać ci tą drogą". Jakoż rzeczywiście ustąpił zwierz posłuszny, i nie poważył się wracać więcej w te strony. A leżała ta skała o jakich 7 mil od *Anagrates*.

„W tej więc pieczarze skalnej długo św. Kolumban samotny pędził żywot, a gdy podług swego zwyczaju przy nadchodzących świątkach lub jakichkolwiek kościelnych uroczystościach, zdala od towarzystwa ludzkiego w tajnych skrywał się miejscach, gdzieby bez niepokojącej troski w samocie modlitwie się oddawał, zdarzało się, że mu nie raz strawy zabrakło, tak iż ledwie przy życiu mógł się utrzymać, i tylko dzikiemi ziołmi i rosnącemi w tej puszczy drobnemi jagody się posilał.

„A widząc jak coraz większa liczba mnichów w około niego się zbiera, począł mąż święty rozmyślać, czyby nie można jakiego dogodnego miejsca w tej samej puszczy wynaleźć i tam klasztor założyć. Jakoż znalazł w istocie pewne odosobnione miejsce, niegdyś mocną warownię, teraz siedlisko dzikich zwierząt, niedźwiedzi, bawołów, wilków, nazwane z dawna *Luxovia*. Owoż tam przesiadując, zaczął błogosławiony Kolumban obszerny budować klasztor. Na odgłos tej wieści stało się wielkie zbiegowisko pobożnego ludu z okolic, chcącego bożej oddać się służbie, tak iż zbytni wkrótce tłum mnichów nie był w stanie w jednym pomieścić się klasztorze. Co widząc błogosławiony Kolumban założył nowy klasztor..... i ustanowiwszy mnogie gromady mnichów rządził niemi wszystkiemi.

„A prócz tego chadzał zawsze do owej skalnej pieczary, zkąd wygnał był niedźwiedzia, i bawiąc tam w samotności, modłami i posty ciało udręczał....

„Tymczasem rozeszła się sława jego po wszystkiej ziemi Gallji i Germanji.... tak iż król Teodoryk, który w owych czasach panował, często do niego przychodził, i w najgłębszej pokorze pociechy jego modłów i rad upraszał...

..A gdy król Teodoryk przykazaniom świętego męża po-

słusznym okazywać się zaczął, i niedozwolonych związków zaniechać przyrzekł, owoż dawny wąż rodu ludzkiego posiadł umysł jego babki Brunehildy, nowej okrutnej Jezabeli i za podniętą pychy, przeciw mężowi bożemu ją poduszczył, ponieważ widziała iż jej wnuk Teodoryk chętnie rad jego słucha. I stało się więc, że po mnogich za sprawą królowej Brunehildy doznanych prześladowaniach błogosławiony Kolumban wreszcie zupełnie z klasztoru wygnany został.

»Wyszedłszy tedy z towarzyszami, w 20ym roku od zamieszkania w owej pustelni, opuścił święty wygnaniec założony przez siebie klasztor, i udał się przez *Vesontium* i *Augustodunum* do zamku Avallońskiego..... Z tamtąd zaś przyszedł do Orleanu, gdzie nawet wstęp do kościołów za rozkazem królewskim wzbroniony sobie widząc, ustąpił z wielkim żalem nad wybrzeża Ligiery i tam pod namiotem na chwilę spoczął.... I popłynął dalej Ligierą do miasta Tours.... A zabawiwszy nieco w tem mieście, powędrował na sam koniec Gallji nad morze do syna króla Chilperyka, Klotara, który Austrazyjskim Frankom panował... I jął prosić Klotara, aby mu wolno było udać się przez państwo króla Teodeberta, za góry alpejskie do Italji.

»I wybrawszy się z towarzyszami w drogę, przybył do miasta Paryża.... Z tamtąd podążył do króla Teodeberta który ujrzawszy męża świętego, z radością w stolicy swojej go przyjął.... Poczem oznajmił mu Teodebert, iż w granicach państw jego są mnogie rozkoszne i sługom bożym którzy znowu licznie z Luxovji około św. Kolumbana się zgromadzili, do świętobliwego życia dogodne miejsca, otoczone zewsząd sąsiedniemi narody, którymby słowo boże opowiadane być mogło. Na to odrzekł mąż boży: Jeżli król Teodebert przyrzeczonej pomocy nie odmówi.... zabawię nieco dłużej w tych stronach, próbując, czy ziarno ewangelji w sercach tych narodów zasiać się nie da.

»Mieszkają tam zaś naokoło plemiona Swewów, których krainy gdy mąż boży obchodzić zaczął, wielu z nich za jego radą i nauką do wiary się nawróciło i chrzest św. przyjęło....

»Owoż przyszła wtedy świętemu wędrowcy myśl taka; aby pójść do kraju, Wenetów, którzy także Słowianie się nazywają, i ciemne ich umysły światłem ewangelji ozorzyć, a błądzącym po duchownych bezdrożach ścieżkę prawdy okazać.

»Ale zaledwie do uskutecznienia tego zamysłu przystąpił, stało mu się objawienie: ujrzał anioła bożego, który w małym kręgu, podobnym do koła, jakie zwykle dla wyobrażenia globu ziemskiego piśmiennym rylcem rysują, świata okazał mu budowę.» Czyż nie widzisz — rzecze do niego — iż cały świat jeszcze pusty? Udaj się w prawo lub w lewo, którędy zechcesz, abyś owoce starań swoich mógł zbierać. — Ztąd wyrozumiał mąż boży, iż pora rychłego wydoskonalenia się Słowian w wierze jeszcze nie przyszła. I nieco tam wypocząwszy, odszedł precz do Italji.»

W taki więc sposób zabłysnęła na zachodzie pierwsza myśl nawrócenia Słowian do ówczesnej oświaty europejskiej — i takiego to męża obrała ona sobie za pierwsze, probiercze narzędzie.

Św. Kolumban ledwie zagaił dzieło zbawienia, ustąpił do piękniejszej Italji i umarł tam w lat kilka; lecz mimo nieziszczenia swego zamysłu, zwrócił on pierwszy uwagę apostołów zachodnich na licznie rozrodzone plemie słowiańskie i wskazał drogę, po której niebawem tymże samym co i on niepokojem wewnętrznym i zapałem duchowym gnani, mnodzy posłannicy Chrystusa cywilizacyjne światło Zachodu po Słowiańszczyznie roznieśli, aż w końcu na nieszczęście Słowian a zakałę dzieła bożego oręż w sprawę apostolską się wmieszał.

Nie wiń mnie.

Dziécie moje! białe, jasne,
Ty mnie nie wiń, nie skarz na mnie
Że ja w smutku czasem gasnę
Lub uśmiechem błyskam kłamnie.

Że mnie nieraz z twych uścisków
Wyrwą duchy, co gromadą
Pełne chwały, pełne błyskow
Gdzieś na złotych chmurach jadą.

A jeżli mi od łańcucha
Łaską zrzucą dzwięków roje,
To me serce drzy i słucha...
Ty mnie nie wiń dziécie moje!

Ty mnie nie wiń, że ja chmurny
Lubię kryć się do popielnic,
I z ojcowej smętnej urny
Jakby z baszty, jak ze strzelnic
W grozie patrzę na te pola
Gdzie pogańska wre swawola.
A gdy ujrzę że te hordy
Nie na święte idą Kordy,
Ale skore do odwrotu
Zdala strutą strzałą warczą,
To już twego mi namiotu
Białe płótna nie wystarczą,
Bo chce bronią być — nie tarczą!
Choćby ważąc szczęście własne...
Ty mnie nie wiń dziecie jasne!

K. Uj.

Tomko Prawdzic.

Wierutna Bajka

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie !.)

XXIII.

Jak w wielkim tłumie, którego tysiąc głosów się kłóci, wrzały myśli niestorne w głowie biednego Tomka; w sercu jego było pusto, i wiatr tam tylko przelatywał chłodny. Reszta rychło wyczerpanego życia, schroniła się pod czaską, ale tam stypę obchodziła przedśmiertną, pogrzebową sprawiała sobie hulankę. Szedł i nie pytał już o prawdę ani swiata, ani ludzi, ani siebie, ani Boga co czasem głosem w nas mówi wewnętrznym i wszystko dlań było obojętne. —

Wspomnienia rodziców, domu, kątka kraju światka lat dziecinnych; zamarły, ucichły, milczały. Łachmany tylko myśli czarnych pędziły się jak chmury burze poprzedzające w głowie jego świszcząc i kłócąc się z sobą.

— Prawda! Jest prawda! niema prawdy! Wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem, wszystko ułudą, powtarzał I znużony padł spocząć na kamieniu, głowę gorącą oparł o drzewo i powtarzał zadumany, przez sen: Niema prawdy! —

Wtém nadciągnął stary o kiju, Dołęga.

— Co ci to jest Tomko? spytał łagodnie.

— Chory jestem — O! bardzo chory, odparł ledwie go poznając uczeń.

— Cóż cię boli?

— Boli? nic mnie nie boli, chory jestem i nie pragnę zdrowia, chcę tylko smierci; smierć kończy chcę końca.

— A prawda twoja?

— Prawda! ha! To nicość, to zniszczenie, to spokój bez życia, to zagłada to smierć może —

— Biedne chłopię! Wstań i posłuchaj mnie — rozbudzi się znajomym ci głosem. Puściłem cię na swiat umyślnie, abyś własnemi siły zmierzył się z olbrzymem prawdy. Aleś ty mu nie podołał, obalony na ziemię jęczysz i narzekasz — Posłuchaj, może cię uleczę mówił —

W swiecie moralnym prawdą jest poswięcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spojenie z jej losami. W swiecie domowym prawdą jedyną jest miłość, pobłażanie i poswięcenie znowu, żywot ducha a nie ciała; usamowolnienie umysłu i duszy, spętanie zwierzęcej części człowieka.

Tomko słuchał, oczy mu się rozjaśniały —

— Mistrzu mój, rzekł, lecz czémże popęd ku wiedzy i chciwość poznania wszystkiego?

— Jest to popęd slachetny, jest to przeczucie swiata w którym wszystko znać i wiedzieć będziemy, z wszystkiem się w Bogu w całość połączym. Ale niemyśl by nauka była najwyższą zasługą człowieka; a wiedza szeroka problemem jego doskonałości. —

Nie, stokroć nie! Jesteś w błędzie! Czym jest wyższy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki.

Człowiek co nic niewie, prócz pierwszych prawd, z któremi się urodził, a które rozwinęło w nim życie poczciwe i pracowite; często wyższy jest od mędrca, co wszystko wie, w nic nie wierzy i nic nie czyni.

— Źle więc zrobiłem idąc szukać prawdy?

— Zle? nie — lecz prawda jest wszędzie; ona otacza nas. Jak zewsząd prócz więzienia widać niebo, tak ze wszystkich stanowisk życia prócz zezwierzęcenia, widać prawdę nad głowy naszemi. Bądz zdrow, idź do domu. Tam cię czeka reszta nauki, tam i mnie może jeszcze zobaczysz.

To mówiąc podał rękę Tomkowi, podniosł go na nogi i odżywionemu nieco wskazał drogę, ku rodzinnej chacie.

XXIV.

Ktoż kiedy nie wracał do domu z zawodem i żalem?

Chwila to bicia serca i zawrotu głowy, gdy z za pagórków i drzew, ukaże się ta chata z której człek wyszedł z nadzieją, do której wraca z boleścią, którą żegnał radośny prawie, a wita smutny, zwalczony i ranny. Coż nas tam ciągnie i woła pod ten dach słomiany? Czy te lata minione co leżą podrodze jak zeschłe liście drzew w jesieni, czy nadzieje wykarmione co z tąd leciały gołębiem, wróciły krukami; czy ludzie których pierś nie starczyła nam przed laty, do której teraz przytulić się chcemy zziębli, szukając w niej ciepła, po chłodzie swiata?

Tomko zbliżał się drzący i płakał. Po raz to pierwszy od dawna łzy wezbranego serca strumienie z któremi tyle spływa uczuć, tyle boleści unosi się w morze łez ludzkości, gdzieś nad Jozefatową rozlewające się dolną aby swiadczyły za człowiekiem przed Bogiem, że umiał kochać i cierpieć — po raz pierwszy od dawna łzy poszły z jego oczu, a głos myśli natrętnych uciekł przed głosem serca.

I czy te łzy były prawdą, nie spytał, bo czuł to głęboko, że wszelka boleść nawet najmniejsza jest swiętą i prawdziwą, a kłamana występkiem.

Jakże tu nic się niezmieniło!

Wracał do domu, gdzie zda się jednym krokiem nic nie postąpiło ku starości, gdy on w tak krótkim czasie tak bardzo postarzał. Tem wiejskim powolnym żywotem dłużej

się żyje, a im kto gorętszą kąpiel bierze, tem króciej w niej trwa. Tak było z Tomkiem, bociany nowych gniazd nie układały, na strzesze mech nie porósł, trawa nie pożołkła w podwórku, a on tak zżółkł i zestarzał!

Majestatyczny zachód słońca rozpromieniał się na niebiosach i wblaskach zachodu, we wrzawie barw na tle ognistem wyiskrzonych, zdawało się słyszeć muzykę aniołów co przygrywała dnia końcowi, i kołysała ziemię do spoczynku. Ptastwo i wszelkie stworzenie ziemi, co jeszcze niema tyle rozumu by sztucznie utworzyć sobie życie, spieszyło do snu na rozkaz nocy. Ciągnęły kaczki dzikie po nad dworkiem, stada szły becząc i rycząc do otwartych im szopek, a lud prosty wracał od pracy z weselem w sercu.

Na ganeczku dworka siedziało ludzi dwoje starców dwoje; oboje milczeli, obojga oczy a myśli nosiły się daleko.

Nie mówili a rozumieli się myśląc o swojem dziecięciu.

Syn marnotrawny powracał,

Na wschodach ganku siedziała Małgosia i bawiła się ze starym psem podwórzowym: kury i gołębie szczebiocząc chodziły koło niej, zaglądały jej w ręce. Skrzypiał żóraw od studni, bo trzódkę poili pastusi; z kościółka dzwonek wieczorny dzwięcząc pacierze za zmarłych przypominał.

Chwila to była na wsi uroczysta i urocza,

Nagle wiatr powiał, i jakby niósł z sobą zasłonę wieczorną rozwieszając ją po niebie — sciemniać się zaczęło

Starzy podnieśli głowy i spojrzeli sobie w oczy.

—Moja panno, rzekł ślachcic, Bóg łaskaw, Tomko powróci, niema się czego trapić dziecko trochę postrzelone w głowę, ale serce ma dobre; nic mu się przy opatrzności bożej nie stanie.

—Mam i ja tę nadzieję co Jegomość, ale czemuż choć nie nakazał do nas? wiadomości nawet nie dał o sobie?

—Snać nie mógł.

Małgosia słuchała.

—Serce mi mówi Jejmościuniu że rychło powróci, jeno go nie widać. Biedakowi ten stary Dołęga głowę przewrócił, ale to się na swieżem powietrzu wyszumi.

—Daj Boże! uproś Matko Najświętsza!

Gdy to mówili, Tomko z za wrot poglądał oparty o starą lipę, patrzał w dziedziniec domowy, a nie śmiał się zbliżyć, a serce w tej chwili rozwiązywało ostatnią zagadkę, której by głowa nie podołała.

—Szczęście nie jestli to spokój wśród bożego swiata w śród cichej, ustronnej wioski? Te powolne godziny jednostajnie płynące, nie sąli najdroższemi chwilami naszego życia?

Tych dwoje starców bez zgryzoty, bez zmarszczki na sumieniu, dokończających wieku swego wśród błogosławionych ich kilku rodzin, nie sąli wieksi w obec Boga, którego znają i kochają; nad olbrzymów wiedzy, bohaterów wojny, co we wrzawie zapomnieli trochę o sobie, a całkiem o Bogu?

W ich życiu jestli próżna ckwila, któraby nie była czynem lub modlitwą to jest westchnieniem ku niebu? Ciemni są, ale ich ciemnota nie zakrywa przed niemi nieskończonej wielkości Boga, braterstwa ludzi, cudów swiata, cudów życia i nadziei wieczności cudniejszej jeszcze. Mali są, ale w miarę swoją uczynili więcej, niżeli nie jeden z tych co mógł, a nie kwapił się do czynu i bo szczędził siebie, bo siebie tylko kochał —

Mówił a łzy znowu mu do oczow się toczyły.

—Prawda jest w sercach poczciwych, zawołał prawda jest gdzieśmy bliżej Boga.—Nie! nie, ani mądrość wasza, ani miasta wasze nie są prawdą—

I rzucił się ku domowi.

A na ganku podniosły się ku niemu ręce zadrgały serca; bo go wszyscy pod łachmanami poznali, nawet pies — nawet Małgosia!

Jeśliś się czasie głośnego tej powieści czytania wyspał miły czytelniku, jeśli cię Tomko nie zajął; nie obawiaj się wyznać mi tego otwarcie. Spodziewałeś się zwyczajnych bohaterów i prostej powieści, a trafiłeś na coś na kształt długiego monologu, często szłyszanego w duszy i znajomego ci może aż nadto (jeśliś kiedy w głąb swojej duszy zstąpił)

Jeśliś spał nie gniewam się w cale, jeśli przeczytawszy spytasz z gniewem — Czegom cię nauczył? odpowiem ci. Nauczyłem cię że w duszy twej są głosy których posłuchać warto, one ci więcej i piękniejszych rzeczy powiedzą, nad te które słyszałeś odemnie. A teraz bądz zdrów.

Grudek—Hubin.
1849—1850.

Korespondencja literacka.

Ostrzeżenie redakcji. Umieszczony poniżej artykuł otrzymaliśmy przed pięcią tygodniami. Pozna w nim każdy pióro mistrza naszej literackiej i społecznej krytyki. Nie ogłosiliśmy przecież tego artykułu w pierwszej chwili, ponieważ polemika względem zarządu Inst. Ossol. nie doszła wówczas jeszcze tej stanowczości, do jakiej nas teraźniejsza dyrekcja instytutu dalszym ciągiem sporu przywiodła. Byliśmy raczej gotowi narazić się krytykowi nieprzyjęciem artykułu, niż ściągnąć na siebie posądzenie, jakobyśmy się osobistą zawziętością przeciw dzisiejszemu p. zastępcy dyrektora Inst. Oss., nie zaś względami dobra powszechnego powodowali. Jednak p. S., swoim (*w Pamiętniku literackim* N. 5. umieszczonym) więcej zaczepnym niż obronnym artykułem, przymusił nas do wynurzenia zdania

naszego o jego osobistej niezdolności na dyrektora takiego instytutu. Utwierdzając to nasze zdanie musieliśmy, przechodząc po kolei obowiązki dyrektora, mówić o niezdolności p. S. do wydawania pisma *odpowiedniego ważności* Zakładu. Wynurzywszy się więc ostatecznie, i zakończywszy spór o zarządzie Instytutu „*kategorycznie*" nie mamy przyczyny „*szyć wór jedwabiem*" (jak opiewa przysłowie), owszem czujemy obowiązek dowieść to ostatnie twierdzenie, i przeto: dla okazania w zdaniu znającego się na rzeczy, a nie interesowanego w naszym sporze sędziego, jak dzisiejszy dyrektor Zakładu połączony z dyrekcją obowiązkowi sprostać jest wstanie, umieszczamy cały artykuł. A czynimy to tem chętniej, iż ani dalsze odtąd numera „*Pamiętnika*", których cała połowa same ucharakteryzowane w poniższej krytyce artykuły zawiera, szwanku numeru naczelnego nie naprawiają, ani też najświetniejsze mistrzostwo jakichkolwiek przyszłych, artykułów wynagrodzić może nieprzebaczone skompromitowanie jedynego dziś narodowego zakładu naukowego w obec całej narodowej i zagranicznej literatury.

Fenix Lwowski.

Nie tylko w czasach starożytnych pogańskich bywały Fenixy, są jeszcze teraz. Tylko że starożytne powstawały z własnych popiołów, a terazniejsze powstają z własnych prochów i śmieci. Oto wpadł mi do ręki Pamiętnik literacki. Obzieram na wszystkie strony, papier piękny, druk czysty. Na okładce u góry: *pismo tygodniowe,* wśrodku: *Wydawca Dr. Jan Szlachtowski.* A witaj mi dziewiętnastego wieku Tenixie! wszak to nieboszczka *biblioteka* objawia się wtem przeobrażeniu.

Zajrzyjmyż prędko do środka aby się przekonać, czy pokrzepił ją sen bobakowy? czy o własnych zmartwychwstaje siłach, czy dyga tylko jak żaba pod wpływem galwanicznym? Zaraz na wstępie rozprawa: *Pismiennictwo dzisiejsze.* Ba! to nie żarty.

Czytam, co u kata! Czy autor kpi sobie z dzisiejszych czytelników? czy z dzisiejszego pismiennictwa? Czy może przy jednym ogniu piecze objedwie pieczenie? przecież pierwsza stronnica pełna jest najoczewistszych żarcików chociaż oddawanych słowami poważnemi i tonem przypominającym dobrej tuszy instrument: bassetlę.

»Sprawa oświecenia, powiada autor, wywalczyła sobie stanowisko nie wykluczające ją od polityki i przemysłowości, zawsze jednak samoistne.» Jakżeż to rozumieć? przecież wiemy, iż polityka i przemysłowość są także sprawą oświecenia. Więc kawałek sprawy oświecenia nie odłączając się od drugiego kawałka stał się samoistny? Coś tak jak jedno ciało a dwie osoby.

Pismo święte powiedziało
Że mąż z żoną jedno ciało.

Myślicie może iż taka odrębność niewykluczająca, taka samoistność zależna zaszkodziła sprawie oświecenia? Gdzie tam! Czytajcie dalej! „A jestto niemałą jej zaletą i korzyścią, bo tylko jasno pojęty cel kojarzy siły i nadaje im tę sprężystość, za pomocą której możliwe jest jego osiągnienie, wsród piętrzących się zawad, i odciągających z kierunku obcych żywiołów." A co czytelniku! nie górnie? Uderz się w piersi i przyznaj, żeś za głupi abyś zrozumiał. Jeszcze słowa jak słowa, słowa rozumiesz, ale cóż z tego, na cóż ci się to przydało? Czy myślisz, że w Pamiętniku literackim słowa są na to aby myśli udzielać? A od czegoż Pamiętnik zwałby się literackim? Słuchaj! „Za pomocą sprężystości sił możliwe jest osiągnienie celu wsród piętrzących się zawad i odciągających z kierunku obcych zywiołów.« Któż tu odciąga z kierunku obcych zywiołów? Juźciż zawady. A więc nie są zawadami tylko przeciwnie pomocami. Wżyciu powszednim to prawda! ale nie w Pamiętniku literackim. A od czegoż pamiętnik zwałby się literackim? — Zdaje się iż autor powiedział tu całkiem co innego, niż chciał powiedzić. Jakżeż to wiesz? Bo wątpię aby był tak nieubłaganym burzycielem i jednym pióra zamachem w jedynastym wierszu obalał co w dziesięciu poprzedniczych postawił. Zdybując gadki takie zaraz na pierwszej stronnicy przypuszczamy słusznie, iż autor albo nie podoła zamierzeniu swemu, albo iż celem jego nie jest oświecanie. Przecież sam wyznaje, iż: „niezbędnym warunkiem oświaty jest wiedza czyli wiadomość prawdy, przyprowadzona do jaknajwiększej jasności." Nie poważamy się wątpić o wiedzy autora, ale to oczewista, iż nie przyprowadził jej wcale do jasności, owszem odprowadza. Zdaje się wysilać na to aby prawdy dawne, znane i proste, osłonić gęstemi chmurami zawiłego i natężonego układu wyrazów. I tak n. p. zamiast powiedzić iż duch ludzki zastanawiając się i badając poznaje istotę przedmiotów które bada, wynajduje prawa którem ulegają, autor tak się wyraża: » Rozum ludzki zaciekający się w tajniki przyrody i ducha, przechodząc z postrzeżeń czynionych w samą treść, w istotę rzeczy, osłonioną zmysłowości powłoką, wydobywa z poznanych szczegółów prawdy ogólne, wiążące się z sobą przymiotem ogólności i bezwzględności.« Pomijam iż gramatyka każe mówić: wiążące się z sobą przymiotami etc. Lecz co tu słów! Objaśnienia na objaśnienia, komentarze na komentarze, które wreście tak zgeszczają wykład iż mu wcale odejmują przejrzystość. Jestto jakby gruba łupa, którą z wielkim trudem roztłukłszy, dostajemy się do drobnego ziarnka, często do strzępów i pyłu. Oto znamie charakterystyczne rozprawy: *Pismiennictwo dzisiejsze.* Dusza czytelnika skazana jest na ciągłe gryzienie twardych orzechów najczęściej próżnych. Z takiej pracy zyskuje oczewiście łup dużo, pożywienia mało. Wnosimy z tąd iż autor porwał się nie na swo-

ją rzecz, iż nie strawił jeszcze swojego przedmiotu kiedy z takiem natężeniem niby filozoficznem, osłania poważnemi słowami brak treści, brak filozofji. Najbezstronniejszy czytelnik przyzna, iż wcałej tej masie wyrazów i łomanych okresów nie znalazł jednego pomysłu wyświecającego istotę lub rozwój dzisiejszego pismiennictwa. Przykry to zawód, spodziewać się ciągle z powierzchowności czegoś głębokiego, czegoś uczonego, rozbijać gęste chmury i niedogrzebać się światła. Jestto jak z ową piramidą Egipską, o kórej krążyły podania iż mieści w sobie skarby Faraonów, a po mozolnem dobywaniu znaleziono tylko pruchna. W wielkim byłby kłopocie najpilniejszy czytelnik gdyby go spytać: oczem tam pisze? Czegoś się dowiedział? Coś się nauczył? Jeżli wszystkiego nie powtórzy na pamięć, to treści pewno nie powie. Dla czego? Bo tam nic więcej niema prócz tego co się czyta i wymawia. Mało mamy pism czasowych w kraju naszym, ale jeżeli te co są, nie mają się przyczyniać do oświaty, to jest ich już za wiele.

Każdy przedmiot jest trudny dla tego co go nie zna, łatwy dla tego co go zbadał. Więc od piszących mamy prawo wymagać, aby nam zrobili naukę swoją tak przystępną, pojętną, łatwą, jak dla nich być powinna. Pisaćdla tego tylko aby pisać, niemasz wtym ani zasługi ani użyteczności. Jeżeli obrazu umysłowego ruchu w Europie nie możecie jeszcze oddać mową jasną, to nie rozumiecie go sami, uczcie się.

Dobrze jest być uczonym, ale trzeba unikać pozorów uczonności zwłaszcza w pismach perjodycznych i ulotnych. Kiedy zniesiono przywileja, toć i my braciszkowie w Guttenbergu nie stanowimy już wyłącznej nadętej kasty. Trzeba i dla tych pisać co nieuczeni ale chcą się uczyć. Dziwna to sprzeczność rozprawa o oświacie tegoczesnej, stylem ciemnym, z powagą mądrości talmudowej, kiedy oświata sama już zdemokraciała, już nie ślęczy jedynie w bibljotekach ale rozlewa się jak światło słoneczne na godnych i nie godnych. Niedziw że mnich średniowieczny zamknięty w celi, pojmował ludzkość według klasztornego życia, patrzył na dzieje przez malowane szyby swych okien. Ale my mamy koleje i telegrafy i tysiączne środki ułatwiające udzielalność i wymianę mysli, takiem srodkiem są pisma perjodyczne. Więc niegodzi się według wielkich foljałów i większych jeszcze szaf biblioteki Ossolińskich sądzić o literaturze dzisiejszej. Ona już wymknęła się z zaklamrowanych pergaminów, otrząsła z pyłów księgarskich. Ci co jej strzegli, stoją zdumieni jak rzymscy żołnierze przy grobie Chrystusa, a kamień już odwalony, a grób już próżny. Więc zachodzą w głowy i lamentują, iż broszurki i pamflety bardziej są poszukiwane niż sążniowe dzieła. Bo broszurki i pamflety są świeżem powietrzem w literaturze. Co znamionuje głównie ducha czasu naszego w ogólności, jest w szczególności głównem znamieniem literatury perjodycznej, popularność. Przeto tych tylko dziennikarzy mamy za zdolnych, za odpowiadających wymaganiom terazniejszości powołaniu pism czasowych którzy podołają nauki swoje znieść z wysokości Pythyjskiego trójnoga na rynek, jak Prometeusz który nasiona światła, iskry z niebios przyniósł na ziemię. Przeto rzecz o *pismiennictwie dzisiejszym* nie odpowiedziała zamiarowi i wątpimy aby przyniosła publiczności pożytek. Następuje poemat Niniwe. Niepodobieństwem jest ocenić sprawiedliwie utwor umniczy nie mając całości przed sobą. Wułamkuumieszczonym w pierwszym Nrze. Pamiętnika widzimy naśladownictwo barw i wyrazeń biblijnych ale czujemy brak ciepła, brak życia, którego jeżeli poeta nie znajdzie w terazniejszości, nie wyleje z piersi własnej, na próżno odklejać będzie wzory z kwiatów gdzieś nadjordańskich jakby tęcze ze skrzydeł motylich. Tam życie i czerstwość stworzyły te barwy, ale barwy te nie tworzą na odwrót życia i czerstwości. Rokoko dobre jest w sprzętach, gdzie powtórzenie dawnej postaci jest zarazem powtórzeniem dawnej myśli, ale w poezyi która pod obrazami swojemi powinna mieć serce bijące, samo powtórzenie dawnych kształtow jest jakby ustrojeniem grobu w równianki. Zdobią go one i leżą na nim ale nie żyją nim i nie z niego rosną. O cóż chodzi? Czy o pobudzenie uczuć, o wzruszenie głębin duszy? czy tylko o popisanie się w zręczności robienia wierszy? Gdybyśmy ostatniego tylko wymagali, (a mniej już nie można) mielibyśmy autorowi Niniwe jeszcze do zarzucenia, iż pozwala sobie na konto lotności Pegaza, swawoli nibyto wierszopisarskiej przekrzywiającej znaczenie wyrazów, naruszającej loikę i zdrowy rosądek a nie wynagrodzonej z drugiej strony żadnemi innemi zaletami. Pare przykładów posłuży nam na dowód:

Po wielkim dniu słońca i świtu
Pokalał swe usta bezbożnemi słowy.

Wiemy iż *dzień słońca* jest według pojęć starożytnych rokiem ziemskim, inaczej to wyrażenie nie miałoby sesu. Ale świt jest zawsze chwilą poprzedzającą wschód słońca, zatem mówić *po dniu słonca i switu* jestto chcieć dla rymu przewracać cały porządek dzienny.

I bogom fałszywym ze zdrajców sromotą
Zaprzedał dnie swoje pokuty;
Więc przedał bogate za jedwab i złoto
Ubogie zaś przedał za buty.

Nie walczę do ścisłych obserwantów nie przypuszczających butów do wzniosłej liryki, pozwoliłbym nawet na szkarpetki; ale to gorsza iż zamiast ciągu loicznego następstwa jakiego łącznik *więc* spodziewać się pozwala, znajdujemy ni ztąd ni zowąd naciągane *buty* do *pokuty*.

Jak orzeł wyniosły gdy wskrzydli się w chmurę
A w ziemię ognisty wzrok wmiesi

„Wzrok wmiesić“ przenośnia nieużywana a nieszczęśliwa, duchowi języka przeciwna, zmieniająca obraz w karykaturę,

przypominająca koniecznie mieszenia chleba. — Z poezji tej dowiadujemy się także, iż *losy rozsnute mogą grzesznika wyrzucić na morze.* (str. 15.) Zostawiam każdemu do rozmyślania czy bujność to poetycka czy nieład myśli; sam zaś radzę unikać *losów rozsnutych* chociażby i nie wyrzucały na morze.

Pierwszy poszyt pamiętnika kończy się początkiem powieści: *Braciszek*. Znamionuje ją jałowość myśli, ociężałość w wysłowieniu, ubóstwo wyobraźności. A prawdę powiedziawszy obok stanowiska jakie zajęło juz powieściarstwo polskie, powieść ta nie zasługnje na uwagę.

Kończymy nasze uwagi tem że *Pamiętnik literacki* za mało ma wartości naukowej i literackiej aby godnie zastępywać *Instyt. nar. Ossolińskich*; za mało zaś popularności aby odpowiedzić zadaniu lżejszego pisma czasowego i potrzebom czytelników nieuczonych. Zresztą gdyby temu ostatniemu celowi naweet odpowiadał, wtedy nieodpowiedziałby przeznaczeniu pisma Instytutu które powinno być organem naukowości polskiej, przynajmniej naszego kraju; nie zaś pismcm wyrachowanem tylko na dostarczenie codziennego literackiego chleba.

Muzyka.

Niedawno się ktoś rozpisał w Czasie że się Kraków nudzi: o Lwowie tego powiedzieć nie można. Niewiem czyto znak wyższej czy niższej oświaty. Sądząc podług książki napisanej o krakowskich Mandarynach możnaby myślić że Kraków jest od cywilizacyi chińskim murem oddzielony. Nawet gniewy „*Czasu*" natę książkę nie zdołają osłabić tego zdania. — Z tego zaś, że pewne zgromadzenie groziło nam w plakatach *bastonadą* (rozumie się nie wyraźnie tylko „*sub rosa*" ale sens moralny tego plakatu był zawsze kij) jeżeli się do jego patrjotycznych składek nie przyczynimy. . . . . .

Zdaje się więc że pod tym względem stoimy dość na równi z Krakowem. Nie tak pod względem nudów, Lwów jest podobny do chłopca ostrzelanego ze złym humorem swoich władców, który odbywszy pokutę, ze łzami w oczach biegnie do zabawy. Kraków zaś jest rozpieszczonem dzieckiem które nie może nigdy zapomnić, że mu kiedyś lepiej było; dla tego choć się nudzi nie szuka zabaw, tylko ślęczy nad swoją nudą.

Tego mamy oczywisty dowód w *p. Szpakowskich*. Przejechali oni przez Kraków niespostrzeżeni, tak samo chcieli przejechać przez Lwów. Ale Lwów nigdyby się nie mógł pocieszyć, gdyby nie słyszał dwóch młodziuchnych artystów, rodaków, rokujących świetną przyszłość. Życzliwość lwowskiej publiczności i gościnność prawdziwie polska (pomimo chińsko—. . . plakatów) ośmieliła i zniewoliła *p. Szp.* do dania dwóch koncertów.

P. Szp. grali nam kompozycje *Beethovena* (koncert z *Cmol*), *Chopina*, *Mendelssohna*, *Liszta*, *Vieuxtemps'a Davida* i i. — Już ten dobór sztuk świadczy o artystycznem sądzie i klassycznym guście koncercistów. Zestawienie zaś twórców i mistrzów rozmaitych szkół muzycznych i świadczyż, nie są jednostronnemi zwolennikami tej lub owej szkoły i każą nam tuszyć iż z czasem zajmą odrębne, niezawisłe stanowisko w świecie muzycznym. W kompozycjach (starszego brata Tomasza) których dwie nam są znane, znać wprawdzie przeważny wpływ Mendelssohna jednakże oraz głębokie studium Chopina.

W grze obudwóch jest szczególną zaletą spiewność, czystość tonów, dokładność i prostota. Pomimo znakomitej mechanicznej biegłości nie dają się porywać do kokieterji w grze, do popisywania się zwyciężaniem mechanicznych trudności, gdzie one nie przyczyniają grze piękności: że jednakowo takowe trudności ich niezrażają i że je zwyciężyć umieją, dowiedli właśnie pięknem odegraniem kompozycji owych wielkich mistrzów. —

Prócz tych zalet obudwóm wspólnych odznacza starszego siła i uczucie w grze, a tak wyraźne odbicie każdego tonu, iż spiew którym przemawia Beethoven, igra płacząc Chopin, duma Mendelsohn lub grzmi Liszt wymyka się z pod palcow jego jak perłowy deszcz którym owi gieniusze zraszają suche tło życia naszego.

Jeżeli w grze obudwóch, mianowicie młodszeg›, znać jeszcze panowanie metody szkolnej, to właśnie to iż nie porzucają przedwcześnie drogi utorowanej doświadczeniem i nauką mistrzów, każe się spodziewać: iż nie wpadną nigdy na bezdroża któremi się często puszczają zarozumiałe talenta. Dzisiejsze wierne trzymanie się śladu mistrzów rokuje na przyszłość w nich samych niepospolitych mistrzów, kiedy bowiem w tak młodym wieku tak znacznej dosięgli doskonałości, toć później zaćmią niejedną dziś jaśniejącą gwiazdę. —

Wydawca: ***Karol Wild.*** Redaktor: ***Karol Widmann.***

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie** przy ulicy krakowskiej pod l. 77.